

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/obozy-koncentracyjne/74150,Ludzie-na-drutach.html>



Warszawa, wrzesień 1939 r. Fot. z zasobu IPN

ARTYKUŁ

Ludzie na drutach

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

Autor: ELŻBIETA DZIWIŚ 15.09.2020

Wojenne losy mamy, Felicji Dziwiś z domu Artwich, znałam na pamięć. O niemieckiej okupacji i Powstaniu Warszawskim oraz katordze w niemieckim obozie koncentracyjnym Stutthof chciała opowiedzieć całemu światu i opowiadała. Znajomym, rodzinie...

Jako małe dziecko wchodziłam pod stół albo w kąt między ścianą a szafą i, niewidoczna dla nikogo, słuchałam...

W marcu 1998 r. spotkałam się z Elisabeth Erb, przewodniczącą niemieckiego stowarzyszenia Maximilian-Kolbe-Werk, które wspierało materialnie Oddział Opiekuńczo-Leczniczy dla Byłych Więźniów Obozów Koncentracyjnych w krakowskim Szpitalu im. Gabriela Narutowicza, oraz z Lee-Elisabeth Hölscher-Langner, żoną konsula generalnego Republiki Federalnej Niemiec w Krakowie. Mama była wtedy zbyt słaba, aby mówić. Zapytały, czy mogę to zrobić w jej imieniu. Zgodziłam się.

Początek

Swoją opowieść mama zaczynała zawsze tak samo:

„Byłam trzy razy dziewiąta na dziesiątkowaniu. Cud, że żyję”.

Swoją opowieść mama zaczynała zawsze tak samo: „Byłam trzy razy dziewiąta na dziesiątkowaniu. Cud, że żyję”. Teraz wiem, że dziesiątkowanie na placu apelowym w KL Stutthof stanowiło traumę, która ją bolała jak niezagojona rana, a w nocy nie dawała zasnąć.

Teraz wiem, że dziesiątkowanie na placu apelowym w KL Stutthof stanowiło traumę, która ją bolała jak niezagojona rana, a w nocy nie dawała zasnąć. Na dom rodzinny mamy przy ul. Nowomiejskiej 1 na warszawskim Starym Mieście spadły we wrześniu 1939 r. bomby niemieckie. Kamienica została zrujnowana. Rodzina straciła cały dobytek, ale przeżyła. Od tej chwili życie stało się dla nich najważniejszą wartością. Inne, zwłaszcza materialne, odsunęły się daleko.

Przez dwa miesiące mieszkali kątem na Pradze przy ul. Zaliwskiego, u brata dziadka, a potem znaleźli mieszkanie na Mokotowie przy ul. Grottgera 10. Jakoś je urządzili, dużym wysiłkiem, a potem, po raz drugi, wszystko stracili, kiedy wybuchło i brutalnie stłamszone zgasło Powstanie Warszawskie.

Mamę, rocznik 1912, sanitariuszkę i łączniczkę w Powstaniu Warszawskim, do konspiracji wciągnął brat Jan Artwich. Przenosiła broń, meldunki i sprawozdania z rozmów, jakie ze sobą prowadzili Niemcy bawiący się wieczorami w wojskowym kasynie. Brat znał biegle język niemiecki. Był w kasynie krupierem. Pierwszym traumatycznym przeżyciem mamy w czasie okupacji było aresztowanie i uwięzienie na Pawiaku. Komórka AK wy dostała ją stamtąd za łapówkę.



Felicja Artwich, Warszawa, 1947

r. Fot. ze zbiorów Autorki

Pożegnanie kanarka

W opowieści mamy poruszała mnie scena pożegnania kanarka Maciusia w ostatnich dniach sierpnia 1944 r., gdy z babcią Walerią i ciocią Haliną musiała opuścić swoje mieszkanie. W tym rejonie Mokotowa Niemcy i ukraińscy kolaboranci w niemieckich mundurach wysiedlali ludność cywilną. Dom po domu. Straszna sławę jako wykonawca rozkazu wymordowania w pierwszych dniach sierpnia 80 cywilów z domów przy ul. Puławskiej 49 i 51 zyskał Polak służący w niemieckiej żandarmerii, folksdojcz Edward Malicki (vel Maliszewski).

Zamykając za sobą drzwi wejściowe wcześniej rano, mama wiedziała, że to dla niej koniec walki. Może też koniec życia. Zbrodnie, grabieże, gwałty pijanych żołdaków, pożary, rzezie w szpitalach, mord setek ludzi, w tym również nieletnich, w więzieniu mokotowskim przy ul. Rakowieckiej i niedaleko, w klasztorze Jezuitów, kobiety gnane jako żywe tarcze przed niemieckimi czołgami... Straszne rzeczy się działy. Ale co zrobić z Maciusiem? Wypuścić kanarka i otworzyć okno? Nie poradzi sobie. Wyjęła go z klatki, wzięła na ręce, a

potem wszędzie, gdzie się dało, rozsypała dla niego pokarm i poustawiała miseczki z wodą.

W drugiej scenie z upadającej Warszawy, która przemówiła do mojej dziecięcej wyobraźni, mama idzie ulicą. Jaką, nie zapamiętała. Zapada zmrok, płonie duży dom, otaczają go smugi dymu, a tu nie wiadomo skąd dociera niezwykła muzyka. Kto teraz gra? A to płonęła fabryka fortepianów. Pod wpływem temperatury instrumenty same zaczęły grać. Nie chciały umierać w milczeniu.

Zapada zmrok, płonie duży dom, otaczają go smugi dymu, a tu nie wiadomo skąd dociera niezwykła muzyka. Kto teraz gra? A to płonęła fabryka fortepianów. Pod wpływem temperatury instrumenty same zaczęły grać. Nie chciały umierać w milczeniu.

Babcia, mama, jej młodszy brat Janek i jego żona zostali aresztowani przez Sicherheitspolizei 28 sierpnia 1944 r. Rodzinę rozdzielono. Mama, jej brat i bratowa nie wiedzieli, co się stało z babcią Walerią (trafiła do obozu dla ludności cywilnej w Pruszkowie, po ucieczce niemieckiej załogi 16 stycznia 1945 r. wróciła do Warszawy). Załadowano ich do bydłych wagonów. Prawie trzy doby jechali stłoczeni tak, że trudno było się nawet obrócić. Brakowało powietrza, fetor był straszny. Tylko dwa razy wagony otwarto i pod strażą karabinów, aby komuś nie przyszło do głowy uciekać, Niemcy pozwolili ludziom wyjść i załatwić potrzeby fizjologiczne. Pociąg zatrzymał się 31 sierpnia. Kazali wysiadać. Wtedy wywiezieni dowiedzieli się, gdzie są. W obozie koncentracyjnym Stutthof, 36 km od Gdańska. Od razu nastąpił podział: mężczyźni osobno, kobiety osobno. „Trzymajcie się razem” – zdążył powiedzieć brat do mamy i swojej żony, która była w ciąży.

Pierwszą noc spędzili w pustym baraku na ziemi. Rano rewizja osobista, Niemcy kazali oddać pieniądze, złoto, biżuterię. I rozebrać się do naga. Więźniowie dostali obozowe pasiaki i drewniane chodaki na nogi. Dla mamy chodaków nie było. Miała bardzo małą stopę. Pozwolili jej pozostać w skórzanych oficerkach. Obóz był przepełniony ludźmi różnych narodowości. Najwięcej Żydów. Z całej Europy, dużo było Żydów węgierskich. Więźniami byli Litwini, Łotysze, Holendrzy, Czesi, Belgowie, Francuzi, Norwegowie, Niemcy, Romowie, no i Polacy. W większości z Pomorza, od upadku Powstania – z Warszawy. Mama z cicią, tak jak pozostałe więźniarki, spały po dwie osoby na jednej pryczy.

Trzy razy dziewięta

W obozie apele poranne trwały krócej, wieczorne nawet godzinę, niekiedy jeszcze dłużej. Liczono więźniów. Kiedy któryś z nich uciekł i nie został schwytany lub wykroczył przeciw obozowemu regulaminowi, karę ponosili wszyscy. Stali godzinami, niektórzy padali na ziemię wycieńczeni pracą, chorobami, zimnem. Osobną opowieścią mamy była ta o dziesiątkowaniu więźniów.

„Stałyśmy na placu apelowym – mówiła – natomiast aufzejerki [Aufseherin – strażniczka] w mundurach SS chodziły między szpalerami więźniarek i liczyły do dziesięciu. Dziesiąta była bita. Bywało, że na śmierć. „Eins, zwei, drei, vier, fünf, sechs, sieben, acht, neun”.

Mama liczyła głośno, dobitnie wymawiała „neun”, a następnie urywała. Na nią trzy razy padło owo „neun”. Dziewięć. A na stojącą obok „zehn”, czyli dziesięć.

Schowana za szafą lub pod stołem, słysząc „zehn”, ze strachu zasłaniałam oczy, jak to robi kilkuletnie dziecko. Nie znam niemieckiego, ale do dzisiaj liczyć do dziesięciu w tym języku potrafię.

Mama wiedziała, że na terenie obozu działa organizacja konspiracyjna więźniów. Janek do niej należał. Kilka razy nocą do baraku, gdzie spały mama i ciocia Halina, podszli więźniowie i przez dach spuścili do środka worek z ugotowanymi kartoflami albo innym pożywieniem, które zdobyli, pracując na zewnątrz oraz w magazynach. Noc nie zawsze była porą snu. Zwłaszcza w męskim obozie co jakiś czas odbywały się nocne apele. Pijani esesmani wybierali kilku więźniów i bili, aż ofiary traciły przytomność.



Felicja i Zbigniew wzięli ślub 1 marca 1948 r. Fot. ze zbiorów

Autorki

Pewnego dnia mama zauważyła z daleka brata. Miał siną twarz, pokrwawione nogi, ledwie się włókł. Przechodzący przy ogrodzeniu jego kolega cicho szepnął jej, że to Janek krzyczał ostatniej nocy. Pierwszy raz straciła świadomość tego, co robi. Stała przed barakiem, zaczęła bić głową o ścianę, płakać i głośno krzyczeć. Przechodzili zastępca komendanta obozu i strażniczkę. Rzuciła się do nich: „Wy dranie, szubrawcy, łajdaki!”.

Wracając tramwajem do domu na krakowskim osiedlu, czułam się rozedrgana, nieobecna, nieprawdopodobnie wyczerpana, ogarnięta lękiem... Jak nigdy w życiu. Teraz wiem, że były to objawy zespołu stresu pourazowego, diagnozowane przez psychiatrów m.in. u dzieci byłych więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych...

Była pewna, że Niemiec wyjmie pistolet i ją zastrzeli. Chciała tego. Czekwała. Strażniczka patrzyła, co zrobi komendant. A on nic. Poszedł dalej. Więźniarki zaciągnęły mamę do baraku. Za kilka dni transport mężczyzn odjechał do pracy w fabryce amunicji w Hanowerze. Wujek nie zdążył się dowiedzieć, że ciocia Halina urodziła córeczkę. Gdzieś między Stutthofem a Hanowerem został zamordowany albo umarł z wycieńczenia. Ciocia ochrzciła dziecko wodą zaraz po urodzeniu. Trzeciego dnia blokowa zabrała noworodka. Nie niosła daleko. Chwyciła za nóżki, a potem kilka razy uderzyła główką o ścianę i wrzuciła do kubła z odpadkami.

Kiedy opowiadałam o tym Elisabeth Erb (już nie żyje, zapamiętałam ją jako kobietę skupioną, bardzo poważną, ale z ciepłym uśmiechem, który często pojawiał się na jej twarzy; pacjentom szpitala okazywała życzliwość i troskę), zadała mi pytanie:

„Czy mama nauczyła panią nienawiści do Niemców?”.

„Tego nie, odrzekłam. Każdy człowiek jest inny. Nawet w piekle, była tego pewna, można spotkać anioły”.

Drugie pytanie pani Erb

Strach wzbudzała we mnie, kiedy byłam dzieckiem, opowieść o głodnym szczurze. Otóż pewnego dnia wybuchło zamieszanie. Coś się stało w obozie kobiecym. Więźniarki, które pracowały przy kopaniu torfu, wśród nich mama, właśnie wróciły do baraków. A tu sygnał, że należy biec na plac, bo zacznie się apel karny.

Na środku placu stał stół zrobiony z desek. Do stołu doprowadzono nagą Żydówkę, u której strażniczka znalazła pierścionek z brylantami. Któraś więźniarka na nią doniosła. Z głodu zapewne. Bo z głodu – mówiła mama – człowiek może robić różne rzeczy. Kraść. Donosić. Niektóre z więźniarek już nie mogły głodu wytrzymać, szły na druty pod napięciem i na tych drutach zostawały.

Ta, która dopuściła się zbrodni ukrycia pierścionka, o czym w zamian za dodatkowe racje żywności poinformowała blokową współtowarzyszka obozowego losu, miała teraz zostać przykładowo ukarana. Na oczach reszty uwięzionych, aby nikt już nigdy nie odważył się dokonać podobnego czynu. Kobieta musiała wdrapać się na stół. Została do niego przywiązana. Lekarz niemiecki, a może to nie był lekarz, mama nie miała pewności, skalpelem otworzył jej brzuch. Puszczono szczura. Poczul krew. Ukrył się we wnętrznościach kobiety.

Kiedy w opowieści o szczurze padło słowo „wnętrzności”, Elisabeth Erb zadała mi drugie pytanie:

„Czy nigdy pani nie pomyślała, że mama konfabuluje?”.

„Nie pomyślałam, odparłam. Ona zawsze, ale to zawsze opowiadała dokładnie to samo, w takiej samej kolejności. Niczego nie dodawała. Nie zmieniała”.

W końcu stycznia 1945 r. rozpoczęła się ewakuacja obozu. Pieszko, kolumnami ruszył marsz śmierci. Ciocia Halina wyszła wcześniej, mama w połowie lutego. Kto upadł i nie miał siły iść, był dobijany. Mama mijając leżące po obu stronach drogi trupy i starała się zaglądać w twarze kobiet. Oby tylko nie zobaczyć Haliny! Sama z trudem szła, chorowała na dyfteryt. Miała gorączkę. Po wielu godzinach marszu na mrozie, przez zwały śniegu, zachwiała się na nogach i stoczyła na ziemię. Podbiegła do niej blokowa, Niemka, która okładała pejczem, aby przyspieszyły. Nikt jej o współczucie nie mógł podejrzewać. Wiadomo było, co teraz robi. A ona podała mamie swoją manierkę i powiedziała: „Pij!”. W manierce była wódka. Mama wstała i powlokła się dalej.

Tak doszła do podobożu w Kokoszkach.



**Od lewej: Maria Smolka z d.
Artwich, Waleria Artwich i Felicja
Artwich. Fot. ze zbiorów Autorki**

Zmartwychwstanie kanarka

Sama sobie wymyśliłam dobre zakończenie, bo dzieci lubią, kiedy historie kończą się szczęśliwie: Mama wraca do Warszawy, wchodzi do mieszkania przy ul. Grottgera 10 na trzecim piętrze, patrzy, a tam leży kanarek Maciuś. Bierze go do ręki, ptak zaczyna poruszać skrzydłami. I na tym moje zakończenie opowieści mamy się urywało.

Wracając tramwajem do domu na krakowskim osiedlu, czułam się rozedrgana, nieobecna, nieprawdopodobnie wyczerpana, ogarnięta lękiem... Jak nigdy w życiu. Teraz wiem, że były to objawy zespołu stresu pourazowego, diagnozowane przez psychiatrów m.in. u dzieci byłych więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych, o czym wówczas nie słyszałam. Myślałam, że to następnego dnia minie. Ale nie minęło. Po południu odezwał się telefon. Dzwoniła żona konsula generalnego RFN w Krakowie. Powiedziała, że mnie przeprasza. Byłam jej wdzięczna za te słowa.

Mama odeszła 6 października 1998 r. Wśród osób idących za jej trumną na cmentarzu Rakowickim w Krakowie była Niemka urodzona w Berlinie, Lee-Elisabeth Hölscher-Langner (w 2008 roku odznaczona polskim Orderem *Ecce Homo*). Podeszła do mnie i uściśnięła rękę. Dzień był słoneczny. Jak na październik bardzo ciepły.

W Muzeum Stutthof w Sztutowie pozostałateczka akt personalnych mamy nr I-III-625. W tłumaczeniu z języka niemieckiego zapis brzmi tak: „Artwich Felicja ur. 18.5.1912 r. w Warszawie, aresztowana 28.8.1944 r. przez Sipo Warszawa. W obozie oznaczona numerem 87 413 jako więzień polityczny”.

Tekst pochodzi z numeru 9/2019 „Biuletynu IPN”

COFNIJ SIĘ